Nr 87. Kraków, Niedziela 14 Kwietnia 1895. Rocznik XLVIII.

„Czas" wychodzi codziennie wieczór, wyjąwszy niedziele i dni świąteczne. Pojedyncze oddzielne Nra Czasu, o ile zapas starczy, w Krakowie po 10 cent., z przesyłką pocztową 12 centów; we Lwowie po 10 centów do nabycia w biurze dzienników, przy ulicy Karola Ludwika l. 9.

Prenumerata wynosi:

	na cały rok	na kwartał	na 1 miesiąc
W miejscu	20 złr.	5 złr.	1 złr. 80 ct.
Pocztą w państwie austryackiem	24 złr.	6 złr.	2 złr. 50 ct.
„ niemieckiem	28 złr.	7 złr.	3 złr.
„ do Włoch, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi i innych państw, należących do związku pocztowego	32 złr.	8 złr.	3 złr.

Prenumeratę przyjmuje się tylko od 1 do ostatniego dnia w miesiącu. — Listy z pieniądzmi i przekazy pieniężne na prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadsyłać *franco* do Administracyi *Czasu* w Krakowie. — *Listy reklamacyjne nieopieczętowane* nie podlegają opłacie pocztowej. — *Listów niefrankowanych* nie przyjmuje się. — *Rękopismów* nadsyłanych nie zwraca się.

CZAS

Prenumeratę przyjmują: Administracya *Czasu* w Krakowie i urzędy pocztowe. Miejscową prenumeratę księgarnia S. A. Krzyżanowskiego, handel Niemojowskiego w Sukiennicach, biuro dzienników Herza, handel Bajera, główna trafika, handel Kretschmera, biuro dzienników Hopcasa i Salomonowej, biuro Mańkowskiej (Sukiennice). — Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje się za opłatą od miejsca wiersza drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz 10 cent., za każdy następny po 5 cent. — Nadesłane (na 3 stronie) od miejsca wiersza drukiem drobnym po 30 cent. za każdy raz. — Ogłoszenia i prenumeratę przyjmują: we Lwowie biuro dzienników ulica Karola Ludwika l. 9, centralne biuro ogłoszeń ulica Kopernika l. 11; w Paryżu wyłącznie p. Adam rue de Varenne 38, (prenumeratę p. W. Raczkowski Courbevoi pod Paryżem rue du Chemin de fer 44); w Wiedniu pp. Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu), A. Oppelik, R. Mosse (także w Berlinie, Hamburgu, Monachium i Norymberdze), H. Schalek, M. Dukes, J. Danneberg, H. Friedl (tylko prenumeratę pp. H. Goldschmidt & Comp.); w Frankfurcie n. M. G. L. Daube & Comp

Kraków 13 kwietnia.

Dziś nad Krakowem grzmi Zygmunt w radosny dźwięk: Alleluja! Na Wawel spieszą tłumy pobożnych — ku Wawelowi zwracają się w dzień Zmartwychwstania Pańskiego uczucia i myśli z dalekich stron, bo to pierwsza i najdostojniejsza świątynia w całej Polsce. Cóż być może droższego dla polskiego serca nad ten kościół koronacyjny, grobowiec królów, z trumną wielkiego patrona biskupa męczennika, z ołtarzami cudami słynnemi, przed któremi największe w dziejach naszych wymodlono u Boga łaski i chwały, błogosławieństwa i tryumfy? Katedra wawelska, żywy pomnik wieków wzrostu i potęgi, jest zarazem wizerunkiem wieku niedoli i upadku. Ktoby nie znał naszych dziejów i zmiennych losów, wchodząc w progi tej świątyni, zawoła: potężnem musiało być to chrześciańskie królestwo, którego historya tu w marmurach wyryta; głęboką musi być niemoc, w jaką popadł ten naród, co dopuszcza takiego zaniedbania najpiękniejszego swego skarbca!

Niemasz stolicy królewskiej w żadnym kraju, któraby w jednym kościele równą nagromadziła mnogość pobożnych pamiątek i czcigodnych relikwij, liczniejszych i wspanialszych pomników z majestatem historycznym, większą rozmaitość dzieł sztuki z różnych epok. Są narody historycznie i cywilizacyjnie starsze i bogatsze od naszego — ale ich zabytki rozrzucone; my wszystko, co mamy, mamy na Wawelu. Wszystko tu razem zgromadzone, jakby na znak, że przeszłość nasza ma w sobie jedność duchową. Lecz gdzież jest stolica, gdzie kraj, w którymby takie bogactwo kościelnych, historycznych i artystycznych pamiątek w takiej zostawało poniewierce i nędzy? Pomniki i zabytki rozrzucone wśród gołych ścian i odartych naw; wewnątrz wszystko piętnem upadku, niemal ruiny, naznaczone, aż do wielkiego ołtarza, przed którym Jan III się koronował, a który przed laty kilkunastu usunięto z obawy, aby się sam nie zwalił. Zewnątrz do pół zakryta katedra wydaje się jakby niedokończona, a już waląca się. Od fundamentów aż do wież wszystko woła o ratunek, naprawę, wzmocnienie, uporządkowanie i odpowiednią wspaniałości szczegółów ozdobę i harmonię całości.

Sprawa odnowienia i ratunku katedry na Wawelu stanęła na porządku dziennym od chwili, gdy po długoletnim wakansie powrócił jej gospodarz. Za poprzedniego biskupstwa księcia kardynała Dunajewskiego sprawę tę nietylko zainaugurowano, lecz przeprowadzono przez konieczne stadyum przygotowawcze. Swieżo Ojciec św. w bulli nominacyjnej restauracyę katedry przypomniał, a pierwszą myślą, pierwszym czynem Księcia-biskupa Puzyny było ujęcie dzieła w silną dłoń, aby najkrótszą i pewną drogą doprowadzić je do upragnionego celu. Tak więc ze Stolicy Piotrowej i od tronu św. Stanisława wydanem już zostało hasło.

Komitet restauracyjny w licznem i poważnem zebraniu zastanawiał się nad pytaniem zasadniczem, jaki kierunek ma sobie zakreślić zamierzona restauracya. Głosy znawców, nie bez ważnych powodów artystycznych i historycznych, przemawiały za przywróceniem pierwotnych architektonicznych form bazyliki ostrołukowej i obniżenia naw pobocznych, aby temsamem uwydatnić sklepienie Presbiteryum i wydobyć je nazewnątrz z poza przybudówki, dokonanej przez biskupa Łubieńskiego z początkiem zeszłego stulecia. Myśl ta, lubo bardzo ponętna, nie znalazła poparcia większości komitetu, ani nie odpowiadała zamiarowi Księcia-biskupa, gospodarza katedry.

Nic nie zmieniać, co dokonały poprzednie pokolenia — nie odrazu Kraków, nie odrazu katedra Wawelska zbudowana; niech ten ślad różnych wieków pozostanie nietknięty. To, co nam przeszłość przekazała, to wzmocnione, oczyszczone z pyłu wieków, uzupełnić, ozdobić i znów przyszłym zostawić pokoleniom. Jednem słowem: restauracya, odnowienie, a nie przebudowanie, choćby tamtego domagały się względy estetyczne czystości stylowej. Postanowienie Księcia-biskupa z pewnością odpowiada uczuciom ogółu społeczności polskiej.

Komitet, dzieląc zamiary Arcypasterza, a uznając przedewszystkiem jego powagę i jego prawo, oświadczył gotowość wszelkich usiłowań co do dostarczenia środków dla wielkiego religijnego i narodowego dzieła.

Dzieło to śmiałe wymaga znacznych ofiar. Zmniejszy je z pewnością, jak ufać należy, udział skarbu państwa i skarbu krajowego, a posłowie do Rady państwa i do Sejmu nie mają powodu wątpić o skutku swych starań w tej mierze. Zostaje zapewne połowa kosztów, preliminowanych na pół miliona, na ofiarność społeczeństwa polskiego.

Gdy o katedrę na Wawelu chodzi — zaiste to nie za wiele, a gdybyśmy przypuszczali, że na taki cel pieniędzyby zabrakło — wątpilibyśmy chyba w uczucia katolickie i uczucia narodowe społeczeństwa polskiego. Niedawna przeszłość Krakowa daje nam pod tym względem zaspakajające, a dla ofiarności publicznej zaszczytne przykłady.

Przed czterdziestu laty zgorzały niemal do szczętu dwa wielkie kościoły w Krakowie, choć wspaniałe, wobec Wawelu drugorzędnego znaczenia. Odbudowanie kościołów Dominikanów, Franciszkanów i św. Katarzyny — następnie wspaniała restauracya Wielkiego ołtarza Wita Stwosza i całego kościoła Panny Maryi, wiele innych dzieł, podjętych równocześnie ze składek publicznych, od domu Towarzystwa naukowego do pomnika Mickiewicza — wszystko to świadczyć będzie, że w Polsce nigdy nie braknie ofiarności na sprawy chwały Bożej i sławy narodowej.

Katedra na Wawelu nie dotyczy tylko Krakowa i granic Galicyi — sięgnie daleko i poruszy serca w najdalszych zakątkach ziem polskich, mimo wszelkich przeszkód i utrudnień. Ofiarność mierzyć się winna miarą możności, oraz historycznych tradycyj — lecz jak i te źródła, które obficie u nas zasilają różne dzieła, potrzeby i cele — równie ważnym będzie udział maluczkich, grosz wdowi i grosz ludowy. Na kościół lud nasz daje zawsze ochotnie, a gdy złoży ofiarę na katedrę Wawelską, gdzie leżą królowie polscy, to zadrgnie mu w piersi dotąd śpiące uczucie, wspólności narodowej z tą dziejową przeszłością. Piękną była myśl zacnej Polki, która, uprzedzając inicyatywę z góry, poruszyła inicyatywę u dołu — i już zebrała tysiące w składkach groszowych. To rozrzucanie po kraju puszek i zbieranie groszy nietylko przynosi materyalny rezultat, którego lekceważyć się nie godzi — ale przynosi pożytki moralne, bo uczy społeczeństwo, czego można dokonać, zbierając grosz do grosza, bo wywołuje ruch dla sprawy, która jest świętym obowiązkiem ogółu.

Piękny również przykład dała krakowska Kasa Oszczędności, podejmując na swój wyłączny rachunek restauracyę najwspanialszego klejnotu, kaplicy Zygmuntowskiej; nie wątpimy, że inne instytucye, a może i rodziny, pójdą za tym przykładem, biorąc na siebie to kaplice, to inne zabytki.

Subskrypcya na katedrę Wawelską, dotąd mało w dziennikach ożywiona, nie budzi w nas obaw, choć pragnęlibyśmy, aby sprawa szła raźno, aby oprócz puszek centowych stało się także zwyczajem przy każdem zebraniu towarzyskiem, czy publicznem, nie zapominać o katedrze na Wawelu.

Szukamy często niezbyt właściwie sposobności zatwierdzania, że żyjemy, dawania tak zwanych objawów życia i jedności. Gdy takie objawy zasadzają się na frazesie lub demonstracyi, zwykle bywają niezdrowe i szkodliwe w następstwach. Tu mamy sposób pewny a obowiązek święty zatwierdzenia, że żyjemy, że jesteśmy jednolitym narodem, że nie wymarła w naszem pokoleniu miłość Kościoła, wiara, cześć przodków, łączność z naszą historyą, wreszcie godność narodowa. Tak jest: stan obecny katedry na Wawelu wywołuje rumieniec wstydu, wobec obcych i wobec duchów przeszłości i wobec przyszłych pokoleń nie możemy zostawić tego przybytku w obecnym jego stanie.

Nie jesteśmy tak ubodzy, aby to dzieło godności narodowej było dla nas za ciężkie. Urządzamy świetne wystawy, stawiamy wspaniałe teatra i mniej udane pomniki — wydajemy na te cele krocie i miliony — i chlubimy się z tego, że czynimy to z poczucia patryotycznego. Zapewne, pięknie, że takie dzieła stają pod godłem ojczystem, ale pamiętajmy, że to, co dogadza upodobaniom, potrzebom ekonomicznym, czy estetycznym chwili, choć pożyteczne i chwalebne, nie jest jeszcze ofiarą na ołtarzu ojczyzny. Ideał ojczyzny wyżej sięga, on całą obejmnje przeszłość i łączy ją z duchem wiary i miłości Boga.

Dzieło odnowienia Katedry na Wawelu jest dziełem ofiary i wyznawstwa uczuć katolickich i uczuć polskich. Przestępując próg tej świątyni, tych uczuć rozdzielać nie wolno, bo ich łączność w każdym tu kamieniu zapisana.

Gdy spojrzymy, jak mawiał Woronicz, „z tego górca wawelskiego" na społeczeństwo polskie, czyliż sprzeczność wspaniałości dawnej z dzisiejszem zaniedbaniem i upadkiem, nie wyda się być analogią i jakby symbolem, że mamy dziś dwie restauracye do rozpoczęcia, dwa odrodzenia; że w tej katedrze, jak w narodzie, od fundamentów aż do sklepień wszystko potrzeba wzmacniać, porządkować, cementować, aby w gruzy do reszty nie runęły obie budowle, lecz zwolna powracać mogły przy pomocy Bożej do dawnej siły i świetności. Aby druga naprawa się powiodła, trzeba pierwszej dokonać, a symbol i analogia nie zawiedzie; świadectwem dzieje tej katedry, które we wszystkich epokach bywały odbiciem zdrowia i potęgi narodu. Od pierwszego odrodzenia, od Łokietka i Kazimierza Wielkiego zaczyna się szereg pomników królewskich na Wawelu, przechodzi przez czasy Jagiellońskie, Batorego, czasy Wazów, choć ciężkie, lecz jeszcze pełne rycerskiej chwały i chrześciańskiej cnoty i przerywa się z pomnikiem Jana Sobieskiego. Czasy saskie nie zostawiają tu po sobie śladów, ani panowanie ostatniego króla, który sam jeden nie koronował się na Wawelu. Każde panowanie, każda doba historyczna zapisuje się tu w kaplicach, w kamieniach, bronzach i marmurach w miarę tego, o ile dziejowemu posłannictwu Polski lepiej i zaszczytniej ta chwila, ta postać królewska odpowiada. Chwile zboczenia z drogi, myślą Bożą wskazanej, chwile rozkładu moralnego i politycznego nie zostawiają po sobie w katedrze pamiątek. Z czasów porozbiorowych dwóch rycerzy i wieszcz: Kościuszko, książę Józef i Mickiewicz do zaszczytu tych grobów przypuszczeni.

Ale czasy porozbiorowe pod koniec stulecia niech się w tych murach wawelskich zapiszą wewnętrznem odrodzeniem, pracą restauracyjną, czcią dla przeszłości, wiernością dla ołtarzów.

Ten, który dziś wstaje z grobu, Chrystus Pan, Zbawiciel, On, co zwyciężył śmierć, zwróci miłosierny wzrok ku Łazarzowi narodów, gdy ten naród uczci jego ołtarze i złoży ofiarę świadczącą, że życie wiary w nim nie zamarło.

Z tą nadzieją, z tem uczuciem chwytamy dziś dźwięk Zygmunta z Wawelu, zwiastujący Zmartwychwstanie Pańskie: Alleluja!

Przegląd polityczny.

Radosne święto Chrześciaństwa usuwa na drugi plan wszystkie sprawy polityki bieżącej. Ta przerwa w wypadkach, ta wielka cisza, która zalega w salach parlamentów i w gabinetach ministeryalnych, zestawiona z brzmieniem pochwalnych pieni, wznoszących się z milionów piersi w murach świątyń Pańskich, nasuwać musi corocznie pocieszające refleksye o trwałej potędze moralnych i religijnych pierwiastków w rozwoju zdarzeń świata. Pomimo uporu, z jakim wrogowie Kościoła usiłują zaprzeczać jego idealnemu wpływowi na materyalny porządek rzeczy, w dniach takich jak jutrzejszy, manifestuje się z imponującą siłą jedność wielkiej katolickiej gminy, skupiającej się dokoła potężnej Piotrowej Opoki i pod jej osłonę oddającej losy państw i narodów. W dniach takich umilkną upokorzone niechętne głosy, innowiercy nawet pochylają głowy przed blaskiem pokoju i miłości, jaki ożywia te jedyne w Chrześciaństwie święta.

Stanowisko Koła polskiego berlińskiego wobec projektu przewrotowego zaczyna się zwolna wyjaśniać. Teraz wiadomo dobrze, że nie Dr R. Komierowski, o czem po jego oświadczeniu nie wątpiliśmy, był zastępcą X. Dra Wolszlegiera w rzeczonej komisyi, ale poseł Władysław Wolszlegier. Ten punkt jest jasno stwierdzony. Pomiędzy innemi bowiem oto, co donoszą do *Gazety Gdańskiej*: „Prawdą jest, że w komisyi przewrotowej po odpowiednich zmianach rządowego projektu poseł nasz głosował za projektem, ale nie był to poseł X. Dr Wolszlegier, ani poseł p. Dr Komie-

---

„QUO VADIS".

Powieść z czasów Nerona.

(9) przez

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Pomponia, zaprowadziwszy Lygię do cubiculum, poczęła ją uspokajać, pocieszać, dodawać jej otuchy i mówić słowa, brzmiące dziwnie w tym domu, w którym tuż obok, w przyległej świetlicy, stało jeszcze „lararium" i ognisko, na którem Aulus Plautius, wierny dawnemu obyczajowi, poświęcał ofiary bogom domowym. Oto czas próby nadszedł. Niegdyś Virginius przebił pierś własnej córki, by ją wyzwolić z rąk Appiusza; dawniej jeszcze Lukrecya dobrowolnie przypłaciła życiem hańbę. Dom Cezara jest jaskinią hańby, zła, zbrodni. — „Lecz my, Lygio, wiemy, dlaczego nie mamy prawa podnieść na siebie ręki!..." Tak jest! To prawo, pod którem obie żyją, jest inne, większe, świętsze, pozwala jednak bronić się od zła i hańby, choćby tę obronę życiem i męką przyszło przypłacić. Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa. Ziemia jest takim przybytkiem, ale na szczęście życie jest jednem mgnieniem oka, a zmartwychwstaje się tylko z grobu, za którym nie władnie już Nero, lecz Miłosierdzie, i zamiast bólu jest radość, i zamiast łez wesele.

Poczem jęła mówić o sobie. Tak! Spokojna jest, ale i w jej piersiach niebrak ran bolesnych. Oto na oczach jej Aulusa leży jeszcze bielmo, jeszcze nie spłynął na niego zdrój światła. Niewolno jej także wychowywać syna w Prawdzie. Więc gdy pomyśli, że tak może być do kresu życia i że nadejść może chwila rozłączenia się z nimi, stokroć większego i straszniejszego, niż to czasowe, nad którem obie teraz boleją, nie umie nawet pojąć, jakim sposobem potrafi być bez nich nawet w niebie szczęśliwa. I wiele już nocy przepłakała, wiele spędziła na modlitwie, żebrząc o zmiłowanie i łaskę. Lecz swój ból ofiaruje Bogu, i czeka, i ufa. A gdy teraz nowy spotyka ją cios, gdy rozkaz okrutnika zabiera jej drogą głowę, — tę, którą Aulus nazwał światłem oczu, ufa jeszcze, wierząc, że jest moc nad Neronową większa — i Miłosierdzie od jego złości silniejsze.

I przycisnęła jeszcze silniej do piersi główkę dziewczyny, ta zaś osunęła się po chwili do jej kolan i, ukrywszy oczy w fałdach jej peplum, pozostała tak przez długi czas w milczeniu, lecz gdy się wreszcie podniosła, na twarzy jej widać już było nieco spokoju.

— Żal mi ciebie, matko, i ojca, i brata, ale wiem, że opór nie przydałby się na nic, a zgubił was wszystkich. Natomiast przyrzekam ci, że słów twoich nie zapomnę nigdy w domu Cezara.

Raz jeszcze zarzuciła jej ramiona na szyję, a potem, gdy obie wyszły do oecus, poczęła się żegnać z małym Plauciusem, ze staruszkiem Grekiem, który był ich nauczycielem, ze swoją szatną, która niegdyś niańczyła ją i ze wszystkimi niewolnikami.

Jeden z nich, wysoki i barczysty Lygijczyk, którego w domu zwano Ursus, a który w swoim czasie, razem z matką Lygii i z nią, przybył z inną ich służbą do obozu Rzymian, padł teraz do jej nóg, a następnie pochylił się do kolan Pomponii, mówiąc:

— O domina! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara.

— Nie naszym, lecz Lygii jesteś sługą — odrzekła Pomponia Graecina — lecz zali cię dopuszczą do drzwi Cezara, i w jaki sposób potrafisz czuwać nad nią?

— Nie wiem, domina, wiem jeno, że żelazo kruszy się w moich rękach, jak drzewo...

Aulus Plautius, który nadszedł na tę chwilę, dowiedziawszy się, o co chodzi, nietylko nie sprzeciwił się chęci Ursusa, ale oświadczył, że nie mają nawet prawa go zatrzymywać. Odsyłają Lygię, jako zakładniczkę, o którą upomina się Cezar, a zatem obowiązani są odesłać jej orszak, który przechodzi wraz z nią pod opiekę Cezara. Tu szepnął Pomponii, że pod pozorem orszaku, może jej dodać tyle niewolnic, ile uzna za stosowne, centurion bowiem nie może odmówić ich przyjęcia.

Dla Lygii była w tem pewna pociecha, Pomponia zaś również była rada, że może ją otoczyć służbą swego wyboru. Jakoż, prócz Ursa, wyznaczyła jej starą szatną, dwie Cypryjki, biegłe w czesaniu, i dwie kąpielowe dziewki germańskie. Wybór jej padł wyłącznie na wyznawców nowej nauki, gdy zaś i Ursus wyznawał ją już od lat kilku, Pomponia mogła liczyć na wierność tej służby, a zarazem cieszyć się myślą, że ziarna prawdy zostaną posiane w domu Cezara.

Napisała też kilka słów, polecając opiekę nad Lygią wyzwolenicy Neronowej, Akte. Pomponia nie widywała jej wprawdzie na zebraniach wyznawców nowej nauki, słyszała jednak od nich, że Akte nie odmawia im nigdy usług — i że czytuje chciwie listy Pawła z Tarsu. Wiadomem jej było zresztą, iż młoda wyzwolenica żyje w ciągłym smutku, że jest istotą odmienną od wszystkich domowniczek Nerona, i że wogóle jest dobrym duchem pałacu.

Hasta podjął się sam wręczyć list Akte. Uważając też za rzecz naturalną, że córka królewska musi mieć orszak swych sług, nie czynił najmniejszej trudności w zabraniu ich do Pałacu, dziwiąc się raczej małej ich liczbie. Prosił jednakże o pośpiech, z obawy, by nie być posądzonym o brak gorliwości w spełnianiu rozkazów.

Godzina rozstania nadeszła. Oczy Pomponii i Lygii znów zapłynęły łzami; Aulus jeszcze raz złożył dłoń na jej głowie — i po chwili żołnierze, przeprowadzani krzykiem małego Aulusa, który, w obronie siostry, wygrażał swemi małemi pięściami centurionowi, uprowadzili Lygię do domu Cezara.

Lecz stary wódz kazał gotować dla siebie lektykę, tymczasem zaś, zamknąwszy się z Pomponią w przyległej do oecus pinakotece, rzekł jej:

— Słuchaj mnie, Pomponio. Udaję się do Cezara, choć sądzę, że napróżno, a jakkolwiek słowo Seneki nic już u niego nie znaczy, będę i u Seneki. Dziś więcej znaczą Sofonius Tigellinus, Petronius lub Vatinius.... Co do Cezara, może i nie słyszał on nigdy w życiu o narodzie Lygiów, i jeśli zażądał wydania Lygii, jako zakładniczki, to dlatego, iż ktoś go do tego podmówił, łatwo zaś odgadnąć, kto mógł to uczynić.

A ona podniosła na niego nagle oczy:

— Petronius?

— Tak jest.

Nastała chwila milczenia, poczem wódz mówił dalej:

— Oto co jest wpuścić przez próg którego z tych ludzi bez czci i sumienia. Przeklęta niech będzie chwila, w której Vinicius wszedł w nasz dom. On to sprowadził do nas Petroniusa. Biada Lygii, albowiem nie o zakładniczkę, tylko o nałożnicę im chodzi.

I mowa jego, z gniewu, z bezsilnej wściekłości i z żalu za przybranem dzieckiem, stała się jeszcze bardziej świszcząca, niż zwykle. Czas jakiś zmagał się sam ze sobą i tylko zaciśnięte pięści świadczyły, jak ta wewnętrzna walka jest ciężką.

— Czciłem dotychczas bogów — rzekł — ale w tej chwili myślę, że niemasz ich nad światem i że jest tylko jeden, zły, szalony i potworny, któremu imię Nero.

— Aulu! — rzekła Pomponia — Nero jest tylko garścią zgniłego prochu wobec Boga.

On zaś począł chodzić szerokimi krokami po mozaice pinakoteki. W życiu jego były wielkie czyny, ale nie było wielkich nieszczęść, więc nie był do nich przyzwyczajony. Stary żołnierz przywiązał się był do Lygii więcej, niż sam o tem wiedział i teraz nie umiał się pogodzić z myślą, iż ją stracił. Prócz tego czuł się upokorzony. Zaciężyła nad nim ręka, którą pogardzał, a jednocześnie czuł, że, wobec jej siły, jego siła jest niczem.

Lecz gdy wreszcie potłumił w sobie gniew, który mieszał mu myśli, rzekł:

— Sądzę, że Petronius nie odjął nam jej dla Cezara, nie chciałby bowiem narazić się Poppei. Więc albo dla siebie, albo dla Viniciusa.... Dziś jeszcze dowiem się o tem.

I po chwili lektyka unosiła go w stronę Palatynu. Pomponia zaś, zostawszy sama, poszła do małego Aula, który nie ustawał w płaczu za siostrą i w pogróżkach przeciw Cezarowi.

ROZDZIAŁ V.

Aulus słusznie jednak domyślał się, że nie zostanie dopuszczony przed oblicze Nerona. Odpowiedziano mu, że Cezar zajęty jest śpiewem z lutnistą Terpnosem i że wogóle nie przyjmuje tych, których sam nie wezwał. Innemi słowy, znaczyło to, by Aulus nie próbował i na przyszłość widzieć się z nim.

Natomiast Seneka, jakkolwiek chory na gorączkę, przyjął starego wodza ze czcią mu przynależną, ale gdy wysłuchał, o co mu chodzi, uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— Jednę ci tylko mogę oddać usługę, szlachetny Plautiusu, to jest nie okazać nigdy Cezarowi, że serce moje odczuwa twój ból i że chciałbym ci dopomódz, gdyby bowiem Cezar powziął najmniejsze pod tym względem podejrzenie, wiedz o tem, że nie oddałby ci Lygii, choćby nie miał do tego żadnych innych powodów, jak tylko, by mi uczynić na złość.

Nie radził mu również udawać się ni do Tigellina, ni do Vatiniusa, ni do Viteliusa. Może pieniędzmi możnaby z nimi coś wskórać, może także chcieliby uczynić na złość Petroniusowi, którego wpływ starają się podkopać, lecz najprawdopodobniej zdradziliby przed Cezarem, jak dalece Lygia jest dla Plautiusów drogą, a wówczas Cezar tembardziejby jej nie oddał. Tu stary mędrzec począł mówić z gryzącą ironią, ktorą zwracał przeciw sobie samemu: — „Milczałeś, Plautiusu, milczałeś przez lata całe, a Cezar nie lubi tych, którzy milczą! Jakże ci było nie unosić się nad jego pięknością, cnotą, śpiewem, nad jego deklamacyą, powożeniem i wierszami. Jakże ci było nie wysławić śmierci Brytanika, nie powiedzieć mowy pochwalnej na cześć matkobójcy i nie złożyć życzeń z powodu uduszenia Oktawii. Brak ci przezorności, Aulu, którą my, żyjący szczęśliwie przy dworze, posiadamy w stopniu odpowiednim."

Tak mówiąc, wziął kubek, który nosił u pasa, zaczerpnął wody z fontanny impluvium, odświeżył spalone usta i mówił dalej:

— Ach, Nero ma wdzięczne serce. Kocha ciebie, boś służył Rzymowi i imię jego rozsławił na krańcach świata, i kocha mnie, bom mu był mistrzem w młodości. Dlatego, widzisz, wiem, że ta woda nie jest zatruta i piję ją spokojny. Wino w moim domu byłoby mniej pewne, ale jeśliś spragniony, to napij się śmiało tej wody. Wodociągi prowadzą ją aż z gór Albańskich i, chcąc ją zatruć, trzebaby zatruć wszystkie fontanny w Rzymie. Jak widzisz, można być jeszcze na tym świecie bezpiecznym i mieć spokojną starość. Jestem chory wprawdzie, ale to raczej dusza choruje, nie ciało.

Była to prawda. Senece brakło tej siły duszy, jaką posiadał naprzykład Kornutus lub Trazeas, więc życie jego było szeregiem ustępstw, czynionych zbrodni. Sam to czuł, sam rozumiał, że wyznawca zasad Zenona z Cytyum inną powinien był iść drogą, i cierpiał z tego powodu więcej, niż z obawy samej śmierci.

Lecz wódz przerwał teraz zgryźliwe rozmyślania.

— Szlachetny Anneusu — rzekł — wiem, jak Cezar wypłacił ci się za opiekę, którą otoczyłeś jego młode lata. Lecz sprawcą porwania jest Petronius. Wskaż mi na niego sposoby, wskaż wpły-

rowaki, tylko poseł p. Władysław Wolszlegier z Szenfeldu. X. Dr Wolszlegier nie mógł być na rzeczonem posiedzeniu komisyi obecnym, bo musiał wyjeżdżać z Berlina z powodu swych obowiązków duszpasterskich, więc poprosił posła p. Władysława Wolszlegiera, aby go zastąpił. Ponieważ zaś Koło polskie nie zajęło jeszcze stanowiska co do projektu przewrotowego, więc zastępca posła X. Dra Wolszlegiera, poseł p. Władysław Wolszlegier objawił tylko swoje osobiste zapatrywanie, głosując nie bez zastrzeżenia za projektem w drugiem czytaniu na posiedzeniu odnośnej komisyi. Głosowanie to wcale a wcale nie wyklucza zajęcia zupełnie odmiennego stanowiska przez Koło polskie. Wszystko inne, co pisały gazety o niezgodzie w łonie Koła polskiego, o wystąpieniu z komisyi przewrotowej posła X. Dra Wolszlegiera i t. d., to proste wymysły. Głosowanie posła p. Władysława Wolszlegiera da się usprawiedliwić trudnem położeniem i zastępstwem, a głosowanie to nie wyklucza zresztą zajęcia w pełnym parlamencie wręcz przeciwnego stanowiska, nawet ze strony samego posła p. Władysława Wolszlegiera, który nie jest zwolennikiem projektu i do którego można mieć zaufanie, że interesów społeczeństwa polskiego nie narazi na niebezpieczeństwo."

Naturalnie, że i pisma niemieckie bardzo gorliwie zajmują się ustawą przewrotową. Między innemi pisze *Hamb. Corresp.*: „Już dziś wątpliwości podlegać nie może, że ustawa przewrotowa w tej postaci, jaką przybrała przy drugiem czytaniu w komisyi, nie zostanie uchwaloną. Za tem przemawia nietylko ta okoliczność, że z kół stronnictw środkowych słychać coraz energiczniejsze protesty przeciwko sklerykalizowaniu ustawy, ale także przedewszystkiem fakt, że w centrum samem podnoszą się bardzo poważne głosy w tym sensie, że część uchwalonych w komisyi punktów wystrzeliła znacznie ponad pierwotny zamiar. Co prawda, to centrum zdaje się chcieć zatrzymać zniesienie paragrafu przeciwko ambonie i rozszerzenie § 166 przez zagrożenie kary tym, którzy publicznie w obelżywych wyrażeniach zaczepiają wiarę w Boga lub chrześcijaństwo. Za to ustępstwo byłaby znaczna część centrum, jak utrzymują, gotową zgodzić się na paragrafy, które surowo karzą sławienie zbrodni, a nadto na paragraf, znany pod nazwą paragrafu komplotowego. Szerzona wielokrotnie pogłoska, jakoby centrum otrzymało pewne przyrzeczenia co do zniesienia ustawy przeciwko Jezuitom, ma być, wedle wiadomości dochodzących nas z dobrze poinformowanych sfer, zupełnie błędną." Enuncyację powyższą podaliśmy, bo hamburski dziennik bywa zazwyczaj dobrze inspirowany. Zdaje nam się jednak, że w tym wypadku autor artykułu wyraził raczej swoje pobożne życzenia, niż wiadomości, oparte na podstawie wiarogodnych informacyj.

Znane już są warunki pokoju, jakie Japończycy przedstawili wysłannikowi Chin. Oprócz odszkodowania pieniężnego, żądają oni odstąpienia wyspy Tajwan (Formozy) i pewnej części Mandżuryi z półwyspem Liao-Tong, na którym leży Port-Arthur. Inne warunki odnoszą się wyłącznie do ekonomiczno-handlowych stosunków i mają niezmierną doniosłość. Przedewszystkiem rzeka Jang-Ce Kiang, najważniejsza arterya handlowa Chin, ma być otwarta dla okrętów wszystkich narodów aż do miasta Czung King-Fu, które jest stolicą i centrum bogatej i żyznej prowincyi Se Czuen, liczącej 60 milionów mieszkańców. Rzeka Siang, dopływ Jang-Ce Kiangu, będzie otwarta aż do Siang Tan, ważnego miasta handlowego, w którem się koncentruje handel dwóch prowincyj Hunan i Kiang Si i przez które prowadzi wielki gościniec do Kantonu. Rzeka Kanton, będzie otwartą aż do U-Cze-u. W Chinach północnych śluza Woo Sung na rzece Szangaj ma być zniesiona, a kanał Woo-Sung będzie otwarty aż do Sz Czen na północy i Hang Czau na południu. Wreszcie cudzoziemcy mają otrzymać prawo osiedlania się w całych Chinach i zakładania tam fabryk. Powyższe warunki handlowe dotyczą nietylko Chin i Japonii, ale do pewnego stopnia całego świata, gdyż handel z Chinami jest obecnie tak rozwinięty, że interesuje on wszystkie państwa europejskie i amerykańskie. Otóż, jakkolwiek Japończycy z naciskiem podnoszą, że nie wymagają dla siebie żadnych wyłącznych przywilejów, to przecież nie ulega wątpliwości, że otwarcie Chin dla ogólnego handlu, im przedewszystkiem przyniesie olbrzymie korzyści. Wiadomo bowiem, że przemysł Japonii rozwinął się w ostatnich czasach do tego stopnia, iż współzawodniczy zwycięsko z wyrobami angielskiemi na rynkach indyjskich. Japończycy mają tę wyższość nad Europą, że robotnik ich jest znacznie tańszy i że transport towarów z Japonii do Chin o wiele mniej kosztuje, niż przewóz towarów z Europy.

Wobec tego konkurencya Europy z Japonią w handlu chińskim będzie nietylko niezmiernie utrudniona, ale może nawet niemożliwa. Dziś już angielska i niemiecka prasa wykazuje za pomocą dat statystycznych, że państwa europejskie nie mogą się zadowolnić równemi prawami z Japonią, ale powinny uzyskać osobne przywileje od Chin. Z drugiej strony Francya, która przez Tonkin bezpośrednio sąsiaduje z Chinami, pragnie skorzystać z obecnego stanu „państwa środka", aby uzyskać znaczniejsze korzyści dla swego handlu. Również Stany zjednoczone północnej Ameryki są silnie zainteresowane w zawarciu pokoju pomiędzy Chinami a Japonią i będą pilnie strzedz, aby ich handlowe interesa nie ucierpiały przy tej sposobności. Wreszcie Rosya zostaje niejako odciętą od Chin przez odstąpienie części Mandżuryi i przez oddanie Korei pod protektorat Japonii. Zwłaszcza nowa organizacya Korei jest bardzo nie po myśli Rosyi, gdyż traci ona możność nabycia niezamarzającego portu na oceanie spokojnym. Z tego wszystkiego wynika, że Japończycy muszą być ostrożni i wstrzemięźliwi przy układaniu warunków pokoju, nie jest bowiem wykluczona możliwość, iż w razie przesadnych żądań z ich strony, zwłaszcza takich, których spełnienie osłabiłoby Chiny na zawsze, nastąpi wspólna interwencya mocarstw najbardziej interesowanych. Olbrzymia flota europejsko-amerykańska, zgromadzona obecnie na wodach morza Żółtego silnie popiera dyplomatyczną akcyę Anglii, Francyi, Rosyi i Stanów zjednoczonych. Jakikolwiek będzie jednak wynik rokowań, dziś już można stwierdzić, iż w stosunkach handlowych świata nastąpi epokowy przełom.

Nowy dyrektor Szkoły Sztuk pięknych.

Julian Fałat, świeżo mianowany dyrektorem Szkoły Sztuk pięknych, urodził się w Galicyi, we wsi Tuligłowy, dnia 30 lipca 1853 r. Nominacyę jego na ważne i zaszczytne stanowisko powitano w całym kraju tem radośniej, że po pierwsze artysta miał dużo walk do przebycia, dużo trudności do przezwyciężenia, zanim doszedł do uznania i sławy; że powtóre, on, który zwłaszcza na obczyźnie zasłynął, znalazł obecnie sposobność, ażeby swoje wielkie zdolności i wielkie malarskie doświadczenie oddać na usługę młodszej braci, na usługę przyszłości polskiej sztuki.

Fałat porzuca ochotnie swoje niezwykłe stanowisko w Niemczech, wybitną swoją pozycyę na dworze berlińskim, usuwa się dobrowolnie z europejskiej, wszechświatowej widowni, ażeby działać w ojczyźnie i wpływ na dalsze pokolenia wywierać. Jest to zapewne wielkim dla niego zaszczytem objąć po Matejce kierownictwo jedynej Szkoły Sztuk pięknych, jaką posiadamy na całym obszarze ziem polskich, ale należy mimo to uznać w pełni ofiarę, którą nam ze swej sławy, ze swego stanowiska czyni. Nominacya Fałata budzi w nas najpiękniejsze nadzieje. Przynosi on z jednej strony zapał, znajomość nowych kierunków, mistrzowską technikę, z drugiej strony doświadczenie, światowy takt, umiarkowanie, dzięki którym zdoła stopniowo i mądrze podnosić artystyczny poziom naszej szkoły. Jest on w tym wieku, w którym się zasłużonej instytucyi nie burzy, ale uszlachetnia ją i wywyższa.

Biografii Fałata nie zdołalibyśmy podać. Nasi artyści nie lubią o sobie mówić. Jeżeli się kiedy jaki polski Vasari urodzi, będzie miał trudne i kłopotliwe zadanie.

To pewna, że Julian Fałat kształcił się na inżyniera, że studyował w Zurychu i miał nawet budować koleje żelazne. Rwał się jednak zawsze do malarstwa; politechnika zapoznała go z akwarellą. Poeci zaczynają często od nauki prawa, malarze od studyów technicznych. Po latach ciężkiej pracy i trudu Fałat ujrzał nareszcie przed sobą spokój i dobrobyt: ofiarowano mu korzystną posadę inżyniera w Bułgaryi. Jechał więc do Ruszczuku, po drodze zatrzymał się jednak w Monachium. Trafił na międzynarodową artystyczną wystawę 1879 roku; zobaczył francuskie, angielskie obrazy obok niemieckich. I ujrzawszy je, powiedział sobie, że musi zostać malarzem: „*Anch' io so pittore.*" Porzucić karyerę, uzyskaną posadę, znaczyło to tyle, co zacząć życie na nowo, odważyć się powtórnie na materyalną nędzę, na trudy i poniewierkę. Fałat nie zawahał się. Pierwsza akwarella, która go rozsławiła, „Popielec," musiała mu dodać otuchy i odwagi.

Odtąd datują się dzieła, które corocznie przynosiły artyście nową sławę. Wydobywał on w akwarelli tony tak silne, jędrne i subtelne, że musiał na siebie zwrócić uwagę całego cywilizowanego świata. Nie zaniedbywał przytem olejnego malarstwa. Zaproszony w parę lat potem na polowanie do Nieświeża, zbliżył się do księcia Wilhelma pruskiego, dzisiejszego cesarza Niemiec. Fałat nie wyrzekł się nigdy polskości, stał się mimo to dobrym znajomym potężnego monarchy, zasiadał nieraz u jego stołu, chodził z nim często na łowy. Pozostał zawsze sobą, to jest malarzem; artystycznej swej naturze, szczerości, prawdzie i prostocie zawdzięcza swe powodzenie i stanowisko na dworze berlińskim.

Fałat objechał kulę ziemską dokoła, ale powraca niemal corocznie do wsi swej rodzinnej na Rusi. Lubi, podziwia ten świat odmienny i nowy; widzi go oczyma kolorysty, kocha go całem sercem, głęboko i prawdziwie. Artystyczna szczerość jest podstawą wszelkiej sztuki. Oby ją nowy dyrektor do naszej szkoły wprowadził.

„Jeruzalem".

(Pierre Loti, de l'Académie Française: *Jérusalem*. Paris. Calmann Lévy, éditeur. 1895. Str. 221).

Przed kilku dniami wyszła nowa książka Lotiego. Każde dzieło świetnego stylisty jest wypadkiem literackim pierwszego rzędu; tem skwapliwiej bierze się je do ręki, jeżeli już okładka zapowiada nam wyjątkowy temat, a z nim i wyjątkowe wrażenia. Loti w Jerozolimie! A w dodatku to motto, wypisane na tytułowej karcie: *O crux, ave spes unica!* i ta dedykacya, tyle mówiąca: „Przyjaciołom moim, moim braciom nieznanym, oddaję tę książkę, pamiętnik jednego miesiąca w mojem życiu, pisany w wielkim wysiłku szczerości." A jeżeli zamknąwszy książkę, doznajemy pewnego zawodu, jeżeli, ogarnia nas, jak mówi jeden z recenzentów paryskich, nieokreślone uczucie jakiegoś braku, jeżeli na każdej kartce nowej książki zanadto czujemy literackie dzieło, a szczerość niejednego ustępu czyni na nas sztuczne wrażenie, jeżeli gorszy nas często przejęty na wskroś pogaństwem umysł człowieka, który łudzi się, sądząc, że przyszedł do Ziemi św. po coś więcej, niż po szukanie kolorystycznych efektów, nie możemy przecież nie ulegać czarowi stylu i bogactwu barw, któremi nas Loti olśniewa. *Pèlerinage sans foi*, mówi sam Loti o swojej literackiej wycieczce i dziwi się potem, że poszedłszy nocą na Gethsemani, gdzie się spodziewał być bliżej Chrystusa i oparłszy czoło o drzewo oliwne, widział dokoła ku własnemu smutkowi i przygnębieniu: *un endroit quelconque, un peu étrange seulement.* Czego innego szukali i co innego z Jerozolimy unieśli ci, którzy „przed nim zwiedzali tę ziemię i napisali książki głębokie i wspaniałe," Chateaubriand i Lamartine; a jednak i ponad peizażami Lotiego, malowanemi chłodną ręką, unosi się potężny blask, promieniejący ponad świętemi miejscami Jeruzalem, — i z tej książki, o wielu kartach bezbożnością smutnych, płyną wyrazy upokorzenia, tęsknoty i skruchy. Jest w nich wyraźna abdykacya sceptycyzmu; na gruncie, który przesiąkł zwątpieniem, nie wykwita jeszcze kwiat wiary, na zimne serce nie spłynął jeszcze promień łaski; — ale w pocieszającym choć chwiejnym dotąd zwrocie ku stopom krzyża w poezyi i literaturze dni teraźniejszych, *Jérusalem* Lotiego zajmie jedno z miejsc nieostatnich, tak jak nieostatnim w gronie wielkich współczesnych talentów jest nieporównany malarz słów, który tak zdumiewająco wzbogacił szeregiem swoich książek-obrazów środki pisarskiej techniki.

W stylu Lotiego, barwnym, bogatym, kryje się jednak po za jego pozorną przedziwną prostotą niemało pretensyonalności, poza „wysiłkami szczerości" trochę pozy. Na stronnicach *Jeruzalem* uderza to czytelnika może silniej, niż gdziekolwiek: „Jeruzalem! O konający blask tego imienia! Jak promienieje jeszcze z głębin czasu i pyłu! Prawie zdaje mi się, że to profanacya iż kładę nazwisko moje na czele opowiadania o tej pielgrzymce bez wiary!"... „Ale ja tylko chcę poprostu utrwalić dzisiejsze widoki opuszczenia i ruiny; chcę opowiedzieć, jaki był w naszej epoce przełomu stopień zatarcia tych wielkich i świętych cieniów, których może pokolenie bardzo bliskie wcale już nie zobaczy. A może odmaluję także wrażenia duszy, jednej z udręczonych wśród kończącego się wieku. Są inne dusze podobne do mojej i będą mogły iść ze mną razem. Jednych z nas przejmuje ponura trwoga teraźniejszości; inni stoją nad brzegiem czarnej otchłani, w którą wszystko ma upaść i zgnić: ale mimo to patrzymy ku unoszącemu się w nieokreślonej dali przebaczeniu, które głosił Jezus, ku pociesze którą przyniósł i ku obiecanemu zaziemskiemu spotkaniu,... znad przepaści wznosi się nieustannie ku temu, którego nazwano Zbawicielem, mglista, pełna rozpaczy adoracya". Oto wstęp, po którym odrazu roztacza przed nami Loti przepyszne obrazy.

Z pośrodku mogilnika Gazy orszak Lotiego wyrusza ku Jerozolimie przesiadłszy się z wielbłądów na konie i muły, odprawiwszy Beduinów, a otoczywszy się Maronitami. Sam Loti, odziany w białą lnianą zasłonę, wygląda jak szeik z zachodu, a turyści z kompanii Cooka, których spotyka pod samą Jerozolimą, przypatrują mu się przez lornetki, objaśniani przez przewodnika syryjskiego, że mają przed sobą jednego z *Moghrabis*, jak w Palestynie nazywają afrykańskich Arabów.

Rozkosznie zieloną wiosenną doliną Beit-Dżibrin, otoczoną przez ponurą zieloność oliwnych pagórków, po miąższu ziół przez czerwone zawilce, fioletowe kosaćce i różowe cyklameny, prowadzi nas Loti ku Jerozolimie obok piętrzących się szarych winnic Hebronu i odwiedza z nami meczet, w którym spoczywają prochy patryarchów. Palestyna ściele się przed nami w nieskończonem milczeniu; pustynia zarzucona kamieniami, zarosła kwiatem cyklamenu. Wielkie bezkształtne ruiny, ślady świątyń, ostatnie ściany kościołów z wojen krzyżowych, wśród pustych, smutnych opuszczonych pól, widzą tylko rzadkich pielgrzymów albo zblazowanych turystów.

Wreszcie na wierzchołku jednej z dalekich perłowo szarych gór, wśród mgieł przejrzystych, rysuje się blado-różowe miasteczko, w nieokreślonych cieniach i konturach, z minaretami meczetów i dzwonami kościołów: to Bethleem, tajemnicze i słodkie, na którego profanacyę skarży się Loti z goryczą w artystycznej niewyrozumiałości dla tych, którzy przychodzą tu z głęboką wiarą i skupieniem ducha po co innego, nie po szukanie wrażeń. Do Jerozolimy dojeżdża orszak Lotiego wśród tumanów kurzu i deszczu, z rozwianemi przez wiatr płaszczami; na górach kamiennych i smutnych, stos budynków rozpierzchłych kryje się wśród grubych chmur. „Po lewej stronie gór nic prócz zwyczajnych budzących rozczarowanie gmachów; po prawej za to dawne Jeruzalem, takie jak na obrazkach w starych mszałach; Jeruzalem jedyne wśród wszystkich miast świata, pełne surowych murów i dachów kamiennych o małych kopułach; Jeruzalem posępne i wyniosłe, zamknięte po za blankami murów, pod sklepieniem czarnego nieba". Kilka pierwszych dni przepędzonych w hotelu wśród turystów i europejskich dzienników, przygotowuje i podnieca nastrój, z jakim Loti przystępuje do zwiedzania świętych pamiątek. Opowiada o tem w ustępach wartości nierównej, przejętych już to wzruszeniem, już to częściej rozczarowaniem wyczerpanej i przedelikaconej natury, rozproszonych pozornie, ale zebranych w harmonijną artystyczną całość. Przed św. Grobem powieściopisarz francuski odniósł pierwsze „nieoczekiwane i niezapomniane wrażenie". „Labirynt posępnych sanktuaryów wszystkich epok, wszelkich kształtów, łączących się wspólnie przez przejścia, portyki, kolumnady przepyszne, albo przez małe, skryte drzwi, otwory, jamy. Jedne z nich wzniesione, jak wysokie trybuny, z których widać w niepewnem oddaleniu gromady kobiet w długich chustkach; inne podziemne, w których potrąca się o ludzkie cienie, nieruchome pomiędzy ścianami skał. Wszystko wśród nocnego półzmroku; gdzieś tylko z boku spadają wielkie wiązki promieni, zwiększając wrażenie sąsiednich ciemności; wszystko rozgwieżdżone w nieskończoność małymi płomykami lamp srebrnych i złotych, zstępujących tysiącami ze sklepień; wszędzie tłumy krążące w pomieszaniu, jakby w wieży Babel, albo skupiające się w grupy jednej narodowości dokoła cymboryów, w których się czyni ofiary. Psalmodye, lamentacye, śpiewy radosne napełniają wysokie sklepienia, albo wibrują wśród ech grobowych podziemia; nosowe melodye Greków głuchną wobec wycia gromad Koftyjskich... A we wszystkich tych głosach czuć uniesienie łez i modlitw, które tworzą rozdźwięki i jednoczą się w całość, w coś niesłychanego, coś, co się wznosi z tych świętych miejsc, jak gdyby wielki żal ludzki, jak gdyby ostatni krzyk przerażenia przed śmiercią"... Takich ustępów rzadkiej stylistycznej i obrazowej piękności, o których trudno dać w przekładzie wyobrażenie, pełno w książce Lotiego. W krótkiej recenzyi można zaledwie zaznaczyć niektóre, przed niektóremi przestrzedz, bo wśród najpiękniejszych nawet spotkać można zdania i uwagi, które muszą przykro dotknąć katolickie uczucia.

Obok ustępów o Drodze Krzyżowej, do najpiękniejszych w książce należą wrażenia, odniesione w dolinie Jozafata. Wśród grobowych pomników, na ziemi napełnionej kośćmi ludzkiemi, patrzy Loti na Jeruzalem, które góruje nad doliną umarłych, jak miasto-widziadło. Poza nim Siloë, stos ruin i zbiór jaskiń, schronisko dzikich Beduinów; po lewej stronie pagórki oliwne i ślady murów Ofelu. Ani przechodniów, ani powozów, ani karawan, ani dróg; zaledwie tylko kilka ścieżek samotnych pomiędzy grobami, wydeptanych przez kozy po skalnych urwiskach. Różowe blaski ponad Siloë poczynają gasnąć; na samych wierzchołkach ciągną się jeszcze ostatnie refleksy. Piskliwe dźwięki kobz pastuszych zgubiły się już w oddaleniu; wiatr się zerwał i poczynał się czynić chłód. „Jednego wieczora o tej samej porze roku, z końcem takiego, jak dzisiejszy, dnia wiosennego, Jezus przechodził po tych samych miejscach. Mury świątyni, tam gdzie teraz Haram-eh-Szerif, wznosiły się może tak samo jak dziś owinięte w obłoki; ich dolne podmurowania, złożone z wielkich kamieni salomonowych, były te same, co i teraz, a ich róg południowy, który tak dumnie góruje nad przepaścią, darł się w niebo na tem samem miejscu. Tylko to wszystko było bardziej olbrzymie, bardziej wspaniałe niż dzisiaj; przerażające spustoszenie, zwiastowane przez proroków, nie poczęło się jeszcze szerzyć nad Jerozolimą. Ale to samo, co i dzisiaj, kładło się światło, te same rysowały się linie cieniów. Wiatr wiosennego wieczoru te same przynosił dreszcze i rozlewał te same zapachy. Dzikie rośliny, te drobiazgi tak nikłe, a jednak tak wieczne, które uporczywie na tych samych zjawiają się miejscach poprzez zwaliska pałaców, te były tak, jak teraz: cyklomeny, kopry, kłosiste delikatne trawy i złotogłowie. Chrystus, przechodząc tędy po raz ostatni, patrzał może wzrokiem odwróconym od rzeczy ziemskich na te tysiące małych czerwonych zawilców, rozsianych wszędzie dokoła grobów, jak krople krwi..."

Wracając nocą z doliny Jozafata, spotyka Loti żydów polskich, zwanych S a f a r d i m, modlących się na ruinach świątyni Salomona, i maluje ich wspaniałe sylwetki. I doprawdy „na tych wykrzywionych wyrazem przestrachu twarzach, o wyrazie niskim, podstępnym, haniebnym, o nosach ostrych, długich, bladych, wyryte jest piętno hańby, niezatarty stygmat ludu, który ukrzyżował Chrystusa." Brak nam miejsca, żeby iść dalej śladem książki. Dla posępnych peizażów Martwego morza, zamkniętego w ramy gór, po wschodniej stronie wiecznie cieknących smołą i tonących w ponurym fiolecie, po zachodniej wapnistych, jarzących się w słońcu jaskrawą białością, pozostaje już tylko sucha wzmianka. I potem kilka jeszcze razy dolina Jozafata, ku której każdego wieczora Loti zwraca swoje kroki, znajdując w niej najwięcej materyału do wrażeń artystycznych. Przed przyjazdem do Jeruzalem spodziewał się znaleść ich najwięcej w Gethsemani; marzył o tem, że przepędzi tam całą noc, marzył o cudownym tej nocy opisie, sądził, że „tam będzie bliżej Chrystusa": ale niedługie doświadczenie nauczyło go, że trzeba kochać i wierzyć, że trzeba mieć serce skupione i czyste, aby być godnym tego religijnego zachwytu, jaki się budzi w tych miejscach wielkich i świętych. Więc boi się, nie śmie, odkłada zwiedzanie Gethsemani z wieczoru na wieczór, przeczuwając, że spotka tam tylko pustkę i śmierć. I sam sobie tłómaczy, dlaczego Chrystus, którego z takiem upragnieniem szuka, wyrywa mu się i znika przed nim wszędzie, gdzie tylko ręce ku niemu wyciągnie. Aniołowie z Ewangelii św. Łukasza pytają się niewiast galilejskich: „Co szukacie żyjącego między umarłymi?" To samo pytanie słyszy dokoła siebie Loti, który przejęty wpływem książek Renana, przyszedł tu szukać nie żyjącego Boga, lecz śladów człowieka i wspomnień przeszłości. I dlatego na Gethsemani nie słyszał nic więcej, prócz wycia psów z Jeruzalem.

A dopiero na odjezdnem, skoro Loti zmięszał się z nędzarzami, którzy płaczą i modlą się w kaplicy na Golgocie, budzi się w nim wielkie pragnienie modlitwy, zjawiają się w jego oczach łzy, „gromadzące się od lat wielu w ciągu zmiennych i próżnych komedyj jego życia", przychodzą poważne refleksye: „Ilekroć krzyż Jego się ukaże, ilekroć imię Jego zostanie wymówione, wszystko uspokaja się i zmienia, nikną urazy, mnożą się ofiary i poświęcenia; przed najmniejszym, drewnianym krucyfiksem upamiętanie ogarnia serca wyniosłe i twarde, uniża je i napełnia litością. On jest mistrzem niespodziewanych pocieszeń i książęciem nieskończonych przebaczeń. I chciałbym żeby mi wolno było powiedzieć moim braciom nieznanym, którzy razem ze mną szli do Grobu Świętego: Szukajcie Go i wy także, usiłujcie Go znaleźć, bo oprócz Niego jest próżnia. A żeby Go spotkać, nie potrzeba wam uroczyście dążyć do Jeruzalem. On jest wszędzie..." Ale rozdźwięk kończy te refleksye, które były nam krótką nagrodą za wiele przykrych kart, psujących urok, jakiby mieć mogła książka, piękna tylko bogactwem stylu i obrazów.

RG.

KRONIKA.

Kraków 13 kwietnia.

Z powodu Świąt Wielkanocnych, następny Nr „Czasu" wyjdzie we wtorek dnia 16 b. m. wieczorem.

— **Alleluja!** Wielkie wiosenne święto Zmartwychwstania obchodzi jutro katolicka społeczność. Przez dwadzieścia blisko wieków w dniu tym imię Pańskie, według słów psalmu, otacza się ozdobną i wdzięczną chwałą. Tryumf wiary święci się wszechpotężnie, budząc otuchę i nadzieje; serca nabierają hartu, ożywiają się zapałem, podnoszą się z upadku i zwątpienia. Uciszają się spory dni powszednich, jednoczą się dłonie, wznosi się jednolity chór dziękczynienia i uwielbień. Nikną przepaści społeczne, ubodzy razem z wielkimi tego świata wielbią imię Pana i mają na ustach słowa miłości i przebaczenia. Odnawia się postać ziemi, oświetlonej zaziemskim odblaskiem obiecanego Królestwa Bożego. Świat raduje się w Panu, witając ptaki wiosenne i dzieląc się oliwną gałązką pokoju. Rodzinne grona zasiadają u wspólnych stołów, dzielą się poświęconym darem Bożym, wymieniają gorące życzenia serc. Dziennik, który rok cały dzieli z niemi radości i smutki dni bieżących, niechaj i dzisiaj w ich koła zaniesie słowa życzeń równie serdecznych i niechaj je powita wstępem tradycyjnej pieśni: „Wesoły nam dzień dziś nastał!"

— **Uroczystości wielkotygoniowe.** Dzisiaj w Wielką Sobotę odbyło się o godz. 9 rano w kościołach krakowskich poświęcenie ognia i wody, a o godzinie 10 Msza św. uroczysta. W dalszym ciągu odbywa się zwiedzanie grobów bardzo licznie; z poza Krakowa, ze Szląska i z innych ziem polskich przybyło wielu wiernych, ażeby pomodlić się podczas uroczystych dni w świątyniach naszego grodu. Wieczorem o g. 6 odprawi Najprzewielebniejszy książę biskup krakowski X. Puzyna uroczystą rezurekcyę w katedrze wawelskiej. W innych kościołach rezurekcye odbywają się częścią dzisiaj wieczorem, częścią jutro rano.

— **Na restauracyę katedry na Wawelu** złożyli w kancelaryi książęco-biskupiego Konsystorza: X. F. 1000 złr., N. N. 3 złr., N. N. 1 złr., hr. Karol Scipio 10 złr., N. N. za pośrednictwem O. Przeora OO. Paulinów na Skałce 3 złr. 50 ct., N. N. 2 złr., Kuratorya fundacyi familijnej ś. p. Józefa Antoniego Hallera 300 złr., p. Zofia Popielówna 50 złr., p. z Popielów hr. Rostworowska 50 złr., parafia Trzemeśnia 6 złr., parafia Leńcze 8 złr. 25 ct., parafia Chochołów 49 złr. 50 ct., parafia Wilkowice 10 złr.

— **Zapiski osobiste.** P. delegat Laskowski dziś rano wyjechał do Gorlic.

— **W kościele OO. Kapucynów** odśpiewane zostały wczoraj, jako w wielki piątek, o godz. 7 wieczorem Improperia Palestryny, In monte oliveti Martiniego, Tenebrae factae sunt Haydna oraz Stabat mater Kothego przez chór drukarzy krakowskich „Ognisko". Również kółko śpiewackie św. Jacka wykonało w kościele OO. Dominikanów o godz. 8 wieczór Stabat mater Pergolesego-Witta, Improperia i O bone Jesu Palestryny. Także i w kościele XX. Pijarów o godz. 5 po południu wykonane zostały utwory muzyki kościelnej przez chór rzemieślników. — W myśl uwag przed kilku dniami wyrażonych w tym względzie przez muzycznego recenzenta *Czasu*, witamy z radością inicyatywę podjętą w tym kierunku przez mniejsze kółka amatorskie. Dzięki ich staraniom i pracy, w miejsce dawniejszych hucznych i raczej do sali koncertowej nadających się produkcyj wielkopiątkowych, rozbrzmiewają dziś po naszych kościołach poważne, pełne prostoty i wzniosłe akordy harmonii Palestryny, który dzierży prym w tego rodzaju kompozycyach i obecnie z coraz większem upodobaniem bywa wykonywany i słuchany, jako najodpowiedniejszy nastrojowi chwili. Taka muzyka przyczynia się do podniesienia powagi i estetycznej wspaniałości Grobów Bożych, urządzanych w kościołach miasta naszego.

— **Towarzystwo lekarskie krakowskie** odbędzie we środę dnia 17 b. m. o godz. 6 wieczorem w sali Śniadeckich *(Collegium novum)* posiedzenie zwyczajne, na którem mówić będą: 1) Dr Gabryszewski: W sprawie leczenia wrzodów goleniowych (z demonstracyą); 2) doc. Dr Beck: O powstawaniu urobiliny (z demonstracyą); 3) prof. Bujwid: Wyniki badania wody gruntowej okolic Krakowa, wykonanych w roku zeszłym przez podkomisyę wodociągową.

— **W fejletonie** wczorajszego *Czasu* (Nr 86) „Specyalna wystawa w wiedeńskiem muzeum artystyczno-przemysłowem" autor p. R. Lewandowski wspomina, że „zapewne być musi w naszych również zbiorach

---

wy, jakim ulega, i sam wreszcie użyj z nim całej wymowy, jaką cię stara przyjaźń dla mnie natchnąć zdoła.

— Petronius i ja — odpowiedział Seneka — jesteśmy ludzie z dwóch przeciwnych obozów. Sposobów na niego nie wiem, wpływom niczyim nie podlega. Być może, że, przy całem swem zepsuciu, więcej on jeszcze wart od tych łotrów, którymi Nero dziś się otacza. Ale dowodzić mu, że popełnił zły uczynek, jest to tylko czas tracić; Petronius dawno zatracił ten zmysł, który złe od dobrego odróżnia. Dowiedź mu, że jego postępek jest szpetny, wówczas zawstydzi się. Gdy się z nim zobaczę, powiem mu: czyn twój jest godny wyzwoleńca. Jeśli to nie pomoże, nic nie pomoże.

— Dzięki i za to — odrzekł wódz.

Poczem kazał się nieść do Viniciusa, którego zastał fechtującego się z domowym lanistą. Aulusa, na widok młodego człowieka, oddającego się spokojnie ćwiczeniom w chwili, gdy zamach na Lygię został spełniony, porwał straszliwy gniew, który też, zaledwie zasłona opadła za lanistą, wybuchnął potokiem gorzkich wyrzutów i obelg. Lecz Vinicius, dowiedziawszy się, że Lygia została porwana, pobladł tak straszliwie, iż ani na chwilę nawet Aulus nie mógł go posądzać o wspólnictwo w zamachu. Czoło młodzieńca pokryło się kroplami potu; krew, która na chwilę uciekła do serca, napłynęła znów gorącą falą do twarzy, oczy poczęły sypać iskrami, usta rzucać bezładne pytania. Zazdrość i wściekłość miotały nim naprzemian, jak wicher. Zdawało mu się, że Lygia, raz przestąpiwszy próg domu Cezara, jest dla niego stracona na zawsze — gdy zaś Aulus wymówił imię Petroniusa, podejrzenie, niby błyskawica, przeleciało przez myśl młodego żołnierza, że Petronius zadrwił z niego i że albo podarkiem Lygii chciał sobie zjednać nowe łaski Cezara, albo ją chciał zatrzymać dla siebie. To, żeby ktoś, ujrzawszy Lygię, nie zapragnął jej zarazem — nie mieściło mu się w głowie.

Zapamiętałość, dziedziczna w jego rodzie, unosiła go teraz jak rozhukany koń i odejmowała mu przytomność.

— Wodzu — rzekł przerywanym głosem. — Wracaj do siebie i czekaj na mnie... Wiedz, że gdyby Petronius był ojcem moim, jeszczebym pomścił na nim krzywdę Lygii. Wracaj do siebie i czekaj mnie. Ni Petronius, ni Cezar mieć jej nie będą.

Poczem zwrócił zaciśnięte pięści ku woskowym maskom, stojącym w szatach w atrium i wybuchnął:

— Na te maski śmiertelne! pierwej zabiję ją i siebie.

To rzekłszy, zerwał się i rzuciwszy raz jeszcze Aulusowi słowo: „czekaj mnie," wybiegł, jak szalony z atrium i leciał do Petroniusa, roztrącając po drodze przechodniów.

Aulus zaś wrócił do domu z pewną otuchą. Sądził, że jeśli Petronius namówił Cezara do porwania Lygii do oddania jej Viniciusowi, to Vinicius odprowadzi ją do ich domu. Wreszcie niemałą pociechą była mu myśl, że Lygia, jeśli nie zostanie uratowaną, to będzie pomszczoną i zasłoniętą przez śmierć od hańby. Wierzył, że Vinicius dokona wszystkiego, co przyrzekł. Widział jego wściekłość i znał zapalczywość, wrodzoną temu całemu rodowi. On sam, choć miłował Lygię, jak rodzony ojciec, wolałby był ją zabić, niż oddać Cezarowi, i gdyby nie wzgląd na syna, ostatniego potomka rodu, byłby niechybnie to uczynił. Aulus był żołnierzem, o stoikach zaledwie słyszał, ale charakterem nie był od nich daleki i do jego pojęć, do jego dumy, śmierć przypadała łatwiej i lepiej od hańby.

Wróciwszy do domu, uspokoił Pomponię, przelał w nią swą otuchę i oboje poczęli oczekiwać wieści od Viniciusa. Chwilami, gdy w atrium odzywały się kroki którego z niewolników, sądzili, że to może Vinicius odprowadza im ukochane dziecko, i gotowi byli z głębi duszy pobłogosławić obojgu. Ale czas upływał i wieść żadna nie nadchodziła. Wieczorem dopiero ozwał się młotek przy bramie.

Po chwili niewolnik wszedł i oddał Aulusowi list. Stary wódz, jakkolwiek lubił okazywać panowanie nad sobą, wziął go jednak nieco drżącą ręką i począł czytać tak skwapliwie, jakby chodziło o cały jego dom.

Nagle twarz mu zmierzchła, jak gdyby padł na nią cień od przelatującej chmury.

— Czytaj — rzekł, zwróciwszy się do Pomponii.

Pomponia wzięła list i czytała, co następuje:

„Marcus Vinicius, pozdrowienie Aulowi Plautiusowi: Co się stało, stało się z woli Cezara, przed którą schylcie głowy, jako schylamy ja i Petronius."

Poczem nastało długie milczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

i karton, przedstawiający X. Józefa Poniatowskiego w pół postaci z rękami, opartemi na rękojeści szabli, a robiony mezzotintem z obrazu Grassiego przez J. Piotra Pichlera w Wiedniu.“ Otóż mezzotinto również J. Pichlera i także z portretu Grassiego, a przedstawiające X. Józefa Poniatowskiego, znajduje się w muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie, nie przypominam sobie tylko, czy portret ten wyobraża X. Józefa w zupełnie identycznej postawie. Podpisany zaś jest: Grassi p. sc. Jean Pichler. W temże muzeum znajdują się nadto przepyszne, robiące wrażenie rysunków, sepią i tuszem wykonanych, mezzotinty, przedstawiające hr. Józefową Mostowską z portretu Grassiego, również J. Pichlera (sc. Pichler 1790 Vienne), Stanisława Augusta z portretu Lampiego (sc. Pichler), wreszcie Michała Jerzego Mniszcha, marszałka W. K. z portretu Lampiego, mezzotinto Kieningera. *Jerzy Kieszkowski.*“

— **Śnieg**, ostatnie zapewne pożegnanie zimy, prószył dzisiaj rano po kilku dniach kwietniowej pogody i wiosennego słońca. Powietrze oziębiło się nagle.

— **Wiadomości dyecezyalne.** Archidyecezya lwowska obrz. łac.: Administratorem w Wiesenbergu ustanowiony X. Adam Małaczyński, dotychczasowy koop. w Chorostkowie. — Przeniesieni księża wikaryusze: Ludwik Martynowicz z Tłustego, na ekspozyta do Krasnego *ad* Tłuste; Adolf Prorok z Wyżnian do Tłustego; Aleksander Chrzanowicz z Jagielnicy do Mikuliniec, Franciszek Ziemba z Mikuliniec do Jagielnicy; Edward Pasieczny z Doliny do Chorostkowa. — Konkurs ogłoszono: na trzy kanonie przy kapitule metropolitalnej lwowskiej, z których dwie *regiae collationis*, termin do 15 maja.

— **Do Towarzystwa dziennikarzy polskich** przystąpili, jako członkowie wspierający: Agenor hr. Gołuchowski, nadzwyczajny poseł i dziedziczny członek Izby panów; Seweryn bar. Brunicki, adwokat krajowy Dr Godzimir Małachowski i właściciel Czerlan Dr Kolischer.

— **Stypendyum.** Z fundacyi im. Maryi Kruszewskiej z Chorobrowa nadał Wydział krajowy Józefowi Stefanowi Tadeuszowi Kownackiemu, uczniowi I roku prawa i administracyi na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, stypendyum o rocznych 200 złr., przeznaczone dla ucznia wydziału prawniczego na uniwersytecie lwowskim lub krakowskim, należącego do staropolskiej szlachty; stypendyum to pociąga za sobą obowiązek 10-letniej służby rządowej w Galicyi.

— **Baśń o drzewach.** Starowłoska legenda opowiada, jak zachowywały się rozmaite drzewa w chwili skonu Zbawiciela na krzyżu. Cała przyroda bowiem pogrążyła się wówczas w smutku i w przerażeniu, z wyjątkiem drzew i krzewów, które rozmawiały między sobą cichym szmerem.

Sosna rzekła: On umarł, więc na znak żałoby przywdzieję ciemną barwę i szukać będę miejsc odludnych.

Winna latorośl z Sorrento szepnęła: On umarł, więc z żalu zczernieją moje jagody, z których spłynie pod prasą *Lachrima Christi*.

Wierzba babilońska na wieść o zgonie Chrystusa westchnęła: On umarł. Smętne me gałęzie pochylę ku wodom Eufratu i płakać będę łzami jutrzenki.

Cedr z Karmelu jęknął: On umarł. Odtąd ocieniać będę tylko groby i ptactwo nie będzie swych gniazd na mych gałęziach.

Cis zawołał: On umarł. Teraz będę rósł tylko na cmentarzach. Pszczoła nie dotknie mego kwiatu zatrutego. Ptak nie siędzie na mych konarach, a ktobykolwiek szukał pod mym cieniem spoczynku, nabawi się febry.

Kwiat fryzu szemrał: On umarł, więc na zawsze pokryję fioletem mój złocisty kielich na znak wiecznej żałoby.

Tylko pyszna topola pozostała niewzruszona: Cóż mię to obchodzi? — rzekła — On dał życie za grzeszników a ja jestem bez skazy. Zostanę, jaką byłam.

I dlatego liście topoli drżą bezustannie.

— **Nieznana praca Van-Dyka.** Znawcy, artyści i melomani wiedeńscy przesiadują obecnie w salonie sztuki p. Miethke, zachwycając się nieznanem dotąd dziełem mistrza Van-Dyka. Spoczywało ono długi lat szereg w prywatnej galeryi w Glasgowie, przedstawia zaś postać pięknego trzydziestoletniego mężczyzny, którym jest zmarły w 1643 r. — z ran w wojnie odniesionych — William Villiers, Viscount Grandison. Portret ma być wykonany artystycznie, ma posiadać wszelkie zalety, cechujące dzieła wspomnianego mistrza, nic więc dziwnego, że odkrycie to niemałe wrażenie wywołało.

— **Niedrukowany list Kolumba** przedstawił i odczytał p. Emil Levasseur na ostatniem posiedzeniu akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu. Pismo, pochodzące z r. 1493, pisane jest do dwóch skarbników króla Aragonii i zawiera sprawozdanie z pierwszej zdobywczej podróży odkrywcy Ameryki.

— **W Rzymie** zmarł na zapalenie płuc, przeżywszy lat 80, głośny dziwak, znany w całych Włoszech inżynier, rzeźbiarz, malarz i astronom, profesor Ignacy Vilta. Nieboszczyk był Medyolańczykiem, ale przed dziesięciu laty opuścił miasto rodzinne i osiedlił się w Rzymie. Urządził on niegdyś w Medyolanie wystawę artystyczną i naukową, tak dziwaczną, że mieszkańcy Medyolanu nabrali przekonania, iż profesor uległ obłędowi. Na wystawie tej znajdowały się olbrzymie posągi gipsowe, fantastycznych jakichś kształtów, malowidła o niemożliwem zestawieniu barw i wielkie mapy, na których Vilta objaśniał system astronomiczny własnego wynalazku. W salach wystawowych wielostronny uczony wygłaszał nader dziwaczne odczyty o swoim systemie i utrzymywał z całą powagą, że rozstrzygnął wielkie zagadnienie *perpetuum mobile*. Ale sceptyczni Medyolańczycy nie umieli ocenić należycie zasług swego współobywatela, zaczęli z niego szydzić, opiewać jego dzieła w kupletach, tak, że Vilta rozgoryczony przeniósł się do Rzymu.

— **Królowa Wiktorya angielska**, jak zapewnia Ludwik Greville w swych pamiętnikach, była w swej młodości wyborną śpiewaczką. Wielki Mendelssohn brał niegdyś udział w prywatnym koncercie w pałacu Buckingham, na którym, oprócz niego, popisywała się swoim śpiewem królowa i jej małżonek, ks. Albert, bardzo muzykalny. „Królowa — tak opowiadał Mendelssohn — śpiewała znakomicie i dowiodła, iż posiada nietylko dobrą szkołę, ale i wyrobiony smak“. Jak wiadomo, królowa chętnie też maluje akwarellą.

— **Nuty muzyczne i... telegraf.** Z Rzymu dochodzi ciekawa wiadomość: Niejaki p. Demetrio Alata z Reggio w Kalabryi, obecnie telegrafista medyolański, przyjmowany był w tych dniach przez ministra poczt, któremu przedstawił wynalazek swój co do przesyłania nut muzycznych za pomocą telegrafu. Minister wydelegował osobną komisyę dla zbadania tego pomysłu. Młody telegrafista, sam muzykalny, oddawna już nosił się z myślą rozwiązania tej sprawy przy pomocy specyalnego alfabetu.

— **Z Tokio** donoszą, że hr. Henryk Coudenhove, sekretarz legacyjny ambasady austryacko-węgierskiej w Japonii, zaślubi wkrótce Japonkę z arystokratycznej rodziny, wyznającej buddaizm. Narzeczona przyjmuje wiarę katolicką, a chrzest nastąpi na Wielkanoc. Hr. Henryk Coudenhove, który prowadzi obecnie sprawy ambasady austryacko-węgierskiej w Japonii, ma lat 36 i jest najstarszym synem zmarłego w roku 1893 członka austryackiej Izby panów, hr. Franciszka Coudenhove.

— **Algerya i Tunis** nawiedzone zostały klęską — wróbli. Ptaki te tak się rozmnożyły, że ludność tamtejsza zaczyna je uważać za takie samo nieszczęście jak szarańczę. W r. 1894 zabito ich 35,000, ale ta rzeź nie dała się wcale odczuć śród nieprzeliczonych mas skrzydlatych niszczycieli i rolnicy domagają się wielkim głosem jakiego środka na wytępienie szkodników. Wymyślili różnego rodzaju sidła, a choć giną w nich setki wróbli, mnożą się one jeszcze liczniej. *Revue scientifique* proponuje, by zaszczepić im jaki zarazek zabójczy.

— **Małoletni mężowie stanu.** O brak zajęcia się szerszego ogółu sprawami państwa nie można pomawiać Ameryki. Zainteresowanie się polityką jest tam tak wielkie i tak szerokie obejmuje koła, że przenika nawet do świata dziecięcego. Prasa amerykańska rozpisuje się zupełnie poważnie o zawiązaniu się „Republiki dziecięcej“. Kilkudziesięciu małoletnich obywateli, chcąc sobie wynagrodzić, iż nie mają praw wyborczych, utworzyło rzeczpospolitę dla dzieci, na wzór i podobieństwo republiki stanów, posiadającą w każdem mieście zgromadzenia municypalne — w każdym stanie — zgromadzenia federalne, w Waszyngtonie — kongres, swojego prezydenta i swoich ministrów. Na zgromadzeniach rozpatrywane będą sprawy lokalnego lub ogólnego znaczenia, tak jak na zgromadzeniach prawdziwych ludzi dorosłych.

— **Nekrologia.** Szymon Konieczko, b. dzierżawca, zmarł d. 12 bm. w Kępny w 85 roku życia.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.

W poniedziałek 15 b. m.: *Hanusia*, marzenie senne w 2 częściach a 3 odsłonach G. Hauptmanna, przekład M. Konopnickiej, oraz *Gringoire*, komedya w 1 akcie F. de Banville.

We wtorek 16 b. m.: *Ciepła wdówka*, komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego (występ p. Hoffmannowej).

We środę 17 b. m.: *Świat nudów*, komedya w 3 aktach Paillerona (występ p. Hoffmannowej).

We czwartek 18 b. m.: *Łotrzyca*, komedya w 3 aktach K. Zalewskiego (nowość).

W piątek, sobotę i niedzielę: *Łotrzyca* (jak wyżej).

— Dnia 12 kwietnia rano i przed południem deszcz, później dość pogodnie; termometr od +5·0 doszedł do +12·1 C. Barometr z małą zmianą; o godz. 7 rano dnia 13 kwietnia stan jego był 742·6 mm., termometru +3·5 C. Wiatr zachodni.

W Wielką Niedzielę dnia 14 kwietnia: Uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego; św. Waleryana i Maksyma. W Wielki Poniedziałek świąteczny 15 b. m.: św. Ludwiny p. We wtorek 16 b. m.: św. Lamberta męcz.

Louis d'Or.

Kiedy Lucien de Hem spostrzegł, że grabki bankiera zagarniają jego ostatni bilet stufrankowy, kiedy podniósł się od stołu z ruletą, przy którym stracił szczątki fortuny, zgromadzone na ostatnią batalię — uczuł zawrót i zdawało mu się, że pada w przepaść.

W głowie miał zamęt; chwiały się pod nim nogi. Rzucił się na szeroką, skórą pokrytą ławkę, która okalała salę gry. Przez kilka chwil obejmował błędnym wzrokiem tajemną jaskinię, w której strawił najpiękniejsze lata młodości, widział roznamiętnione twarze graczy, oświecone jaskrawem światłem trzech lamp, słyszał cichy dźwięk złota po zielonem suknie, rozmyślał, że jest zrujnowany, zgubiony i przypomniał sobie, że w domu, w szufladzie komody leżą kawaleryjskie pistolety po ojcu, które jenerałowi de Hem, kiedy był jeszcze prostym rotmistrzem, oddały tak dzielne usługi przy ataku na Zaatczę, — potem złamany i znużony, zapadł w głęboki sen.

Kiedy się obudził, z zaschniętemi wargami, spostrzegł, rzuciwszy okiem na wskazówki, że spał zaledwie pół godziny. Uczuł nieprzezwyciężoną potrzebę odetchnięcia chłodnem powietrzem nocy. Zegar pokazywał trzy kwadranse na dwunastą. Powstając i przeciągając ramiona, Lucien przypomniał sobie, że zbliża się dzień Bożego Narodzenia i bezwiednie, przez pełną ironii igraszkę pamięci, ujrzał się nagle małem dziecięciem, jak przed spaniem ustawia trzewiczki przy kominku, oczekując z radością darów „od aniołka“.

W tej chwili zbliżył się do Luciena stary baron Brial, tradycyjna ofiara każdego domu gry, brudny, cyniczny i pokorny, klasyczny typ zrujnowanego szulera, i zamruczał półgłosem:

— Pożycz mi pan pięć franków. Od dwóch dni nie ruszyłem się z klubu i od dwóch dni nie padło „siedmnaście“. Drwij pan ze mnie, jeśli chcesz, ale dałbym sobie rękę uciąć, że numer ten wyjdzie, nim wybije dwunasta.

Lucien de Hem wzruszył ramionami. Kieszenie miał puste; nie mógł nawet uiścić podatku, znanego stałym gościom lokalu pod nazwą „stu sous barona“. Wyszedł do przedpokoju, włożył kapelusz i futro i zbiegł po schodach z gorączkową ruchliwością.

W ciągu czterech godzin, które Lucien spędził w szulerni, spadł śnieg obfity, a ulica — ulica środkowej dzielnicy Paryża, wąska, zabudowana wysokimi domami — była zupełnie biała. Na niebie, już bezchmurnem, ciemno-błękitnem, błyszczały zimne gwiazdy.

Zrujnowanego gracza przebiegł dreszcz pod ciepłem futrem i począł iść szybko, snując w duchu coraz bardziej rozpaczliwe myśli; a wszystkie wiodły do pudełka z pistoletami w komodzie. Uczyniwszy jednak kilka kroków zatrzymał się nagle. Miał przed sobą wzruszający widok. Na kamiennej ławce, umieszczonej według dawnego zwyczaju, w monumentalnym portalu pałacowym, siedziała w śniegu mała sześcio- lub siedmioletnia dziewczynka, zaledwie okryta strzępami cienkiej, czarnej sukni. Zasnęła mimo przejmującego zimna, z przerażającą bezwładnością znużenia i wyczerpania. Biedna, mała główka i drobne ramiona były wtulone w zagłębienie muru i spoczywały na lodowatym kamieniu. Jeden podarty trzewik zsunął się ze zwieszonej nogi i leżał przed nią w śniegu.

Mimowolnym ruchem sięgnął Lucien de Hem do kieszeni. Ale przypomniał sobie, że chwilę przedtem szukał w niej napróżno zapomnianych dwudziestu sous dla służącego klubu. Wiedziony jednak instyktownem uczuciem litości, zbliżył się do dziewczynki i już byłby ją może wziął na ręce i dał przez noc przytułek, gdy w tem, w leżącym na ulicy trzewiku ujrzał jakiś przedmiot błyszczący.

Schylił się. Był to louis d'or!

Miłosierna osoba, niewątpliwie kobieta, przechodząc ulicą w noc wigilijną, spostrzegła ten trzewik przed śpiącem dzieckiem i dyskretną ręką wsunęła hojną jałmużnę, aby mała sierotka zachowała wiarę w dary Dzieciątka i mimo nędzy nie straciła ufności w Opatrzność.

Louis d'or! — wiele dni spoczynku i dostatku dla żebraczki; i Lucien chciał już ją budzić, aby zwiastować radosną nowinę, kiedy nagle posłyszał nad uchem, jakby w halucynacyi, głos — głos barona, urywany, astmatyczny — szeptający cicho: „Od dwóch dni nie ruszyłem się z klubu i od dwóch dni nie padło „Siedmnaście“... Dałbym sobie uciąć rękę, że numer ten wygra, nim wybije dwunasta.“

I oto ten młodzieniec dwudziesto trzechletni, potomek rodu uczciwych ludzi, dziedzic nazwiska, okrytego sławą na polach wielu bitew, on, który nigdy niczem nie splamił swojego honoru, powziął myśl straszliwą. Ogarnęła go żądza szalona, histeryczna, potworna. Jednym rzutem oka zapewnił się, że jest sam na pustej ulicy, zgiął kolano, wyciągnął ostrożnie rękę, i ukradł louis d'or'a z trzewiczka żebraczki! Potem biegnąc z całych sił, wrócił do szulerni, w kilku skokach przebył schody i pchnął przymknięte drzwi złowieszczej sali. Stanął przy stole w chwili, kiedy zegar poczynał wybijać dwunastą i położył sztukę złota na zielonem suknie, wołając:

„Siedmnaście *en plein!*“

„Siedmnaście wygrywa“.

Jednym zwrotem dłoni Lucien przesunął trzydzieści sześć louis d'orów na *rouge*.

Rouge wygrywa.

Pozostawił siedmdziesiąt dwa louis d'ory na tym samym kolorze. Znowu wyszło *rouge*. Ponowił tę samą grę dwa, trzy razy, zawsze z tem samem szczęściem. Leżał już teraz przed nim stos złota i banknotów i począł nimi zasypywać zielony stół, z gorączkowym pospiechem. „Dwunastka“ i „kolumna“ i „numer“: dobre były wszystkie kombinacye. Było to szczęście niesłychane, niepojęte, zdawało się, że mała kulka z kości słoniowej, przeskakując pola rulety, toczy się zamagnetyzowana, uwięziona, posłuszna wzrokowi gracza. Wkrótce odzyskał kilka tysięcy franków, szczątki stracone z początkiem wieczoru. Teraz, rzucając na raz po dwieście, trzysta louis d'orów, niesiony fantastycznem szczęściem, odegrywał już majątek, dziedziczną fortunę, zmarnotrawioną w niewielu latach. W pośpiechu, aby rozpocząć czemprędzej grę, nie zdjął ciężkiego futra; już miał przepełnione wielkie kieszenie pękami banknotów i rulonami złota; nie wiedząc, gdzie chować wygraną, zapełniał kruszcem i papierami wewnętrzne i zewnętrzne kieszenie surduta, spodni, kamizelki, port-cigares, chustkę, wszystko, co mogło mieścić pieniądze. I grał ciągle, i wygrywał ciągle jak szalony! jak pijany! i rzucał na stół pełne garście złota, na los, bezmyślnie, z giestem pewności i lekceważenia!

Ale w piersi czuł piekący ból, serce przeszywało mu jakby rozpalone żelazo, myślał tylko o małej nędzarce, śpiącej na śniegu, o dziecku, które okradł.

— Jest jeszcze na dawnem miejscu! Niewątpliwie, musi tam jeszcze być!... Zaraz, tak, kiedy wybije pierwsza... przysięgam sobie!... wyjdę ztąd, odszukam ją, śpiącą wezmę na ręce, zaniosę do siebie, położę na mojem łóżku... I wychowam ją, uposażę, kochać będę, jak własną córkę, i pamiętać o niej zawsze, zawsze!

Zegar wybił pierwszą, i kwadrans, i wpół, i trzy kwadranse... a Lucien siedział wciąż przy piekielnym stole.

W końcu, minutę przed godziną drugą, *chef de partie* powstał nagle i rzekł głośno:

— Bank rozbity! — panowie... — Dość na dzisiaj!

Jednym skokiem zerwał się Lucien. Roztrącił szorstko graczy, którzy go otaczali, przyglądając się z zawistnym podziwem, przebył pędem schody i biegł do kamiennej ławki. Zdaleka, w świetle gazowego płomyka, ujrzał małą dziewczynkę.

— Chwała Bogu! — zawołał. — Jest jeszcze!

Zbliżył się i ujął ją za rękę.

— O, jak jej zimno! Biedne maleństwo!

Wziął ją za ręce i podniósł, aby zanieść do domu. Główka dziecka opadła w tył bezwładnie. Nie obudziła się.

— Jak się śpi w tym wieku!

Przycisnął ją do piersi, aby ogrzać; zdjęty nieokreślonym lękiem, chciał ucałować jej oczy, aby przerwać ciężki sen.

Wtem spostrzegł z przerażeniem, że z po za wpół odchylonych powiek patrzą nań źrenice szklane, martwe, nieruchome. Straszliwe podejrzenie targnęło mózgiem. Lucien przyłożył usta do ust dziewczynki. Nie oddychała....

Podczas gdy on, z louis d'orem, który ukradł tej żebraczce, wygrał fortunę, dziecko bez przytułku umarło, umarło z zimna.

Scisnął mu gardło szalony strach. Chciał krzyknąć... i przez wysiłek, jaki uczynił, obudził się z sennych widziadeł, na ławce klubu, gdzie zasnął przed północą. Służący szulerni, wychodząc ostatni około godziny piątej rano, zostawił go w spokoju przez litość dla bankruta.

Mglisty świt grudniowy srebrzył szyby okien. Lucien wyszedł, zastawił zegarek, zjadł śniadanie i udał się do biura poboru rekrutów, gdzie wpisano go jako ochotnika do 1go pułku strzelców afrykańskich.

Dziś jest Lucien de Hem porucznikiem. Ma tylko żołd, ale ten mu wystarcza na potrzeby życia, gdyż jest oficerem wzorowym i kart nie bierze nigdy do ręki. Zdaje się nawet, że wynalazł sposób zbierania oszczędności. I tak niedawno w Algierze jeden z jego towarzyszy, idąc za nim o kilka kroków stromą ulicą Kazby, widział, że dał jałmużnę małej Hiszpance, która zasnęła w bramie. Kolega ów był nawet na tyle niedyskretny, że spojrzał, jakim datkiem przyszedł Lucien w pomoc nędzy. Był zdumiony hojnością biednego porucznika.

Lucien de Hem włożył w dłoń dziewczynki louis d'ora.

Franciszek Coppée.

Ruch artystyczny i umysłowy.

Przegląd powszechny. Zeszyt kwietniowy zawiera na czele rozprawę X. Władysława Czencza T. J. Prudencyuszu p. t. „Wielki poeta chrześciański z IV wieku“, po której następuje dalszy ciąg żywota X. Karola Antoniewicza przez X. Jana Badeniego T. J., mianowicie ciekawy a rzewny ustęp, opisujący pobyt i błogą w skutkach działalność świątobliwego misyonarza w Krakowie po strasznym pożarze r. 1850. Prawniczy artykuł prof. Stanisława Starzyńskiego, zajmuje się ważną dla kraju naszego kwestyą „Rozszerzenia podstaw konkurencyi kościelnej“. Wiązanka „Listów z podróży“ księcia Pawła Sapiehy daje nam tym razem barwny obraz Chin i w szczególności Pekinu.

Wreszcie nowy a pełen przedziwnego uroku przyczynek do dziejów martyrologii polskiej w „Listach sybirskiego misyonarza“ i wygnańca, X. Dawidowicza, podanych w opracowaniu autora czy autorki, która napróżno pod zmienianemi co chwilę literami podpisu usiłuje ukryć identyczność swej osoby i swego rzadkiego talentu z głębokością poglądów złączonego. Po urozmaiconym Przeglądzie piśmiennictwa, spotykamy między innemi bardzo pouczający a przystępny wykład p. J. Nuckowskiego o nowo odkrytym składniku powietrza, argonie, tudzież niezmiernie doniosłe „Wyjawienia“ A. Boca T. J. o groźnym rozkładzie objawiającym się w najnowszych czasach w obozie masoneryi europejskiej.

Ostatnie wiadomości.

Niemieckie dzienniki przyniosły przed kilkoma dniami wiadomość, że książę Arsen Karadżordżewicz, pełniący służbę w wojsku rosyjskiem, otrzymał, ze względu na sprawy natury politycznej, czasowy urlop. Wiadomość ta wywołać miała żywe zaniepokojenie w belgradzkich kołach dworskich. Otóż z kompetentnej serbskiej strony otrzymuje *Polit. Corresp.* zapewnienie, że doniesienia o zaniepokojeniu urlopem księcia Karadżordżewicza puszczone zostały w obieg tendencyjnie, w celu zbałamucenia zagranicznej opinii publicznej. Zarówno dla dworu belgradzkiego, jak dla politycznych kół serbskich, jest rzeczą zupełnie obojętną, co w danej chwili robi i czem się zajmuje ten lub ów członek rodziny Karadżordżewiczów, a to chociażby ze względu na to, że obecni stronnicy praw do tronu tej rodziny są dzisiaj w Serbii bardzo nieliczni i nikt się z nimi poważnie nie liczy. W Serbii panuje od dłuższego czasu najzupełniejszy porządek, a żadne z dążeń przewrotowych nie znajduje pomyślnego dla siebie gruntu.

Drobnych nieporządków wyborczych, których rozmiary niektórzy sprawozdawcy nieprawdopodobnie przesadzili, nie można żadną miarą uważać za objaw jakiegokolwiek politycznego rozstroju. Agitacya opozycyjna przekroczyła tylko w zapale wyborczej kampanii dozwolone granice i dlatego rząd widział się zmuszony wystąpić z całą surowością; przedsięwzięto nawet kilka aresztowań. Zresztą rząd nigdzie nie interweniował we właściwej akcyi wyborczej i ograniczył się do ścisłego przestrzegania porządku. Nie należy także przypisywać doniosłego znaczenia ustąpieniu p. Awakumowicza od kierownictwa partyą liberalną. Powodem tego ustąpienia było niezadowolenie, jakie panowało od dłuższego czasu w łonie stronnictwa z powodu sposobu, w jaki prowadził sprawy partyi. Zarzucano mu przedewszystkiem, że nie cofał się przed niebezpiecznemi kompromisami z destrukcyjnemi grupami, wchodzącemi w skład partyi i że w działaniu swojem nie okazywał zmysłu praktycznego, nie umiejąc szybko ocenić, co się na razie da pozytywnego dokonać. Belgradzcy członkowie partyi liberalnej pragnęliby, aby na czele zarządu partyi stanął znowu były rejent p. Risticz; prowincyonalne odłamy stronnictwa wolałyby widzieć na tem stanowisku byłego ministra spraw wewnętrznych w gabinecie Awakumowicza p. Ribaracza. Wobec późnego wieku p. Risticza, jest rzeczą wistocie prawdopodobną, że szale wyboru przeważą się na stronę p. Ribaracza.

Według informacyi, jakie najlepiej poinformowane dzienniki otrzymują z Konstantynopola, przedmiotem ostatniej audyencyi, którą ambasador angielski sir Currie miał u sułtana, była sprawa armeńska. Podczas wzajemnej wymiany myśli w tym przedmiocie okazać się miała zgodność obustronnych intencyj co do dalszego traktowania drażliwej sprawy. Zgodność ta okazała się najdobitniej w tem, że ambasadorowie trzech mocarstw, których delegaci brali udział w śledztwie w wilajecie Bitlis, ułożyli pewne projekty dla częściowej reorganizacyi w odnośnych prowincyach, a ze strony Porty powierzono osobnej komisyi pod przewodnictwem Turkhana-baszy staranne przestudyowanie tych projektów. Skoro komisya wywiąże się ze swego zadania, przystąpi wówczas rząd turecki do ścisłego porozumienia się co do rozmiarów i sposobów urzeczywistnienia zmian, jakie mają być wprowadzone w wymienionym okręgu administracyjnym.

W dyplomatycznych kołach tureckiej stolicy przeważa pogląd, że propozycye mocarstw, nienaruszające w niczem praw zwierzchniczych sułtana, będą mogły być przyjęte przez Portę bez wielu zarzutów i zastrzeżeń. Jeżeli nadzieja ta nie zawiedzie, sprawa armeńska załatwiona zostanie bardzo pomyślnie bez wywołania jakichkolwiek zawikłań, wskutek czego otworzy się pole do postawienia na porządku dziennym innych spraw, które oddawna na załatwienie czekają.

Telegramy biura koresp.

Lublana 13 kwietnia. Toplice, miejsce kąpielowe koło Rudolfswerth, nawiedził pożar. Spłonęło 26 domów, 24 zabudowań gospodarskich, oraz pocztowy urząd telegraficzny.

Rzym 13 kwietnia. Ajencya Stefaniego donosi z Petersburga, że wiadomość o wysłaniu rosyjskiej naukowej ekspedycyi do Afryki środkowej jest fałszywą.

Lipsk 13 kwietnia. Wczoraj odbyło się tu w pałacu kryształowym przyjęcie urządzone przez 400 tutejszych mieszkańców na cześć 50 pań i panów ze Styryi, jadących do Friedrichsruh dla złożenia powinszowań Bismarckowi. Podczas przyjęcia śpiewano pieśni i wypowiedziano kilka mów. Dziś Styryjczycy jadą dalej do Friedrichsruh.

Detmold 13 kwietnia. Prezes gabinetu Wolffgramm zmarł onegdaj wieczorem. Zwołano natychmiast radę stanu. Sejm zgromadzi się prawdopodobnie we wtorek.

Paryż 13 kwietnia. Senat uchwalił budżet i przyjął wszystkie poprawki, uczynione w Izbie, z wyjątkiem podwyższenia kredytu na pensye dla strażników drogowych.

Paryż 13 kwietnia. Urzędowa depesza donosi, że banda rozbójników napadła d. 20 marca mały patrol francuski koło Timbuktu. Jeden spahis został zabity; komendant patrolu, jeden porucznik i jeden spahis są ranni. Oddział tyralierów, nadszedłszy niespodziewanie, rozprószył bandę rozbójników, za którą puścił się w pościg szwadron spahisów.

Chalons sur Saône 13 kwietnia. Sąd uznał dwóch inżynierów odpowiedzialnymi za ostatnią eksplozyę w kopalniach w Montceau i skazał ich na grzywnę w wysokości 400 i 500 fr.

Madryt 13 kwietnia. Królowa-rejentka ułaskawiła w Wielki Piątek 15 zbrodniarzy, skazanych na śmierć.

Gromady robotników, pozbawionych zajęcia, krążą po prowincyi kadykskiej, dopuszczając się licznych kradzieży.

Belgrad 13 kwietnia. Stwierdzono na podstawie autentycznych wiadomości, że przy wyborze prawyborców w Łożnicy, ludzie, którzy nie posiadają prawa wyborczego, usiłowali opanować przemocą lokal wyborczy, wtargnąwszy gromadnie do budynku, rzucając kamieniami i atakując kijami organa władz. Wśród tego z szeregów demonstrantów padł strzał. Demonstranci zranili jednego żandarma i uderzyli na prefekta okręgowego, który zażądał pomocy patrolu, złożonego z pięciu ludzi i wachmistrza. Z ekscedentów jeden został zabity a czterej są ranni; poczem inni rozprószyli się. Schwytano przywódzców rozruchu i oddano sądom.

Petersburg 13 kwietnia. Według *Graždanina*, rosyjski poseł w Lizbonie udać się ma wkrótce do Petersburga dla rokowań nad zawarciem zamierzonego traktatu handlowego między Rosyą a Portugalią.

Londyn 13 kwietnia. *Times* donosi z Pekinu pod datą 11 b. m., że koła urzędowe po większej części nie posiadają wiadomości o stanie układów pokojowych. Odbyło się kilka narad z zagranicznymi pełnomocnikami; decyzya dotychczas jednak nie zapadła. Dawniejsza partya wojenna jest jeszcze silna. Jest rzeczą możliwą, że kwestya odstąpienia Mandżuryi pozostawiona będzie rozstrzygnięciu księcia Li-Hung-Czanga.

Tripolis 13 kwietnia. Według wiadomości z wnętrza kraju, wódz arabski Rabah pokonany został i zabity przez króla Bonu.

Tanger 13 kwietnia. Między Saffi a Mazagan zamordowany został pewien niemiecki podróżnik. W Casablanca trwa dalej powstanie.

Massawa 13 kwietnia. Jenerał Baratieri upoważnionym został do udzielenia ludności Aduy, która domagała się opieki włoskiej, należytej pomocy za pośrednictwem załogi, złożonej z krajowców i innych środków bezpieczeństwa.

Waszyngton 13 kwietnia. Poselstwo japońskie otrzymało urzędowe doniesienie, że między pełnomocnikami Chin i Japonii przyszło do porozumienia. Każdej chwili oczekiwana jest wiadomość o ostatecznem zawarciu pokoju.

Yokohama 13 kwietnia. W dobrze poinformowanych kołach utrzymują, że jeżeli w czasie obecnego zawieszenia broni nie przyjdzie do zawarcia pokoju, zawieszenie kroków nieprzyjacielskich nie będzie przedłużone. Japońska armia wyruszyłaby bezzwłocznie na Pekin. Według urzędowych doniesień, cholera wśród Japończyków na wyspach Rybackich zmniejsza się stale.

Od Administracyi „Czasu.“

Na odnowienie katedry na Wawelu złożył L. Turnau 5 złr., jako otrzymany zwrot wypożyczonej kwoty.

P. Feliks Armatowicz złożył dla ubogich męskich wspieranych przez Towarzystwo św. Wincentego à Paulo 10 złr., na budowę gimnazyum polskiego w Cieszynie 10 złr.

NADESŁANE.

(Artykuły w dziale tym nie pochodzą od Redakcyi).

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR I WYDAWCA
Michał Chyliński

Czcionkami Drukarni „Czasu.“ Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Bielsku. Rządca Drukarni *Józef Łakociński.*